

## Wojciech Stanisławski: Jeźycjada u progu zimy

Wiedziały blogeressy, co je uwiera, wyczuły, gdzie – przy całym sztafażu na „dziewczyńskie czytadło”, rumieńcach Pulpecji i burzy rudych loków Idy – płynie rzeka podziemna – pisze Wojciech Stanisławski w nowym felietonie z cyklu „Barwy kampanii”.

Rocznice, rocznice. Sprawdza je gorączkowo każdy redaktor, a współczesne narzędzia sprawiają, że już nie trzeba kartkować kalendarzy, jubileusze sypią się po jednym kliknięciu Google’a: otwarcie metra w Tokio, śmierć kompozytora, wybuch wojny w Indochinach. Dość rzadko z tej maszyny losującej wypadał natomiast tej jesieni fakt dość doniosły: 45 lat temu ukazała się pierwsza powieść tworząca cykl „Jeźycjady” Małgorzaty Musierowicz – na pozór (a może po prostu w pierwszym przybliżeniu) „powieści dla dorastających dziewczyn”.

Tym pierwszym tomem była „Szósta klepka” – i wielbicieli MM, podobnie jak smakosze wielkich cykli powieściowych, doceniają, że w tę galaktykę międzyludzką trafiamy nieco bocznym wejściem, odnogą, parantelą: na pierwszym planie jest rodzina Żaków (i Bobcio, Baltona *in spe*, oczywiście!), pojawia się również postać tak centralna dla Jeźycjady jak profesor Dmuchawiec, ale klan Borejków jest jeszcze właściwie nieobecny: dwie rodziny połączą dopiero korepetycje z fizyki inżyniera Żaka, na które uczęszczać będzie również Natalia Borejko – ale to przecież dopiero w „Brulionie Bebe B.”, pięć tomów później...

Prawdopodobnie ta zanęta wystarczyłaby, żeby w gronie jeżycjadofilów rozpocząć żarliwy, erudycyjny, serdeczny spór, pozwalający wspomnieć jednozdaniowe, przeoczone nawet przez badaczy (a może i przez autorkę?) wzmianki, opatrując je tagiem #KMWTW, zastanowić się, kiedy Cesia mogła zaprzyjaźnić się z Gabą, postmodernistycznie rozwijać wątki ze swadą godną *fan fiction*. Ostatecznie ten cykl powieści wszedł nam w serca i w nerki, jak kilku pokoleniom – Trylogia: można by rozpisywać z Jeżycjady „Wielką Grę” i inne turnieje (dla początkujących pomocna może się okazać perełka, jaką jest praca Bożeny Zwierzyńskiej „W labiryntach Jeżycjady. Krzyżówki, quizy, konkursy czytelnicze”), można z niej czerpać pseudonimy, przepisy, logia i kanony urody („Natalia była smukła i wiotka, miała wielkie szare oczy o poetycznym, zadumany wejrzeniu i wielkie białe zęby. Poza tym, z jej twarzy widać już było tylko piegi, tak była szczupła. Poruszała się z wdziękiem żrebaka, plątały się jej za długie nogi i ręce. Była na drugim roku polonistyki i pisała piękne wiersze, wzorowane nieco na Rillem”) – oraz exempla życiowe.

Nie chcę jednak pisać w tym miejscu dla znawców i wyznawców (choć sam zaliczam się przynajmniej do tych drugich) i rozpoczynać niezrozumiałej, hermetycznej i nudnej dla postronnych rozmowy o troskach Aurelii Jedwabońskiej czy periculach Robrojka. Chcę raczej zastanowić się przez chwilę nad zmiennymi losami i pozycją Jeżycjady w polskiej kulturze – oraz rolę, jaką mogłaby w niej odegrać.

Na początku była oczywiście narastająca fala uwielbienia, zwłaszcza, że pierwsze pokolenie czytelniczek weszło w dorosłość i mogło zacząć podsuwać swoje lektury własnym dzieciom w chwili, gdy skończyły się kłopoty z papierem, udręki z cenzurą i monopol wydawnictw

państwowych. Lata 90. to złota epoka Jeźycjady dla autorki, czytelniczek i wydawców: ileż było radości, kiedy okazało się, że tytuł japońskiego przekładu „Opium w rosole” brzmi „Piętnastoletnia Kreska – u schyłku zimy”! Dodruki, wywiady, ba, sama Joanna Szczęsna wychwała cykl na łamach – czy w ogóle można to sobie dziś wyobrazić? – „Wysokich obcasów”?

*Na początku była oczywiście narastająca fala uwielbienia*

Wtedy też, w latach 90., poznał się na tych powieściach, chyba jako pierwszy z wielkich, profesor

Zbigniew Raszewski. On zresztą stworzył termin „Jeźycjada”, jego listy do autorki (ostatnie pisane już w śmiertelnej chorobie), wydane w książce, zasiały pewnie w niejednym ziarno wątpliwości: czy rzeczywiście mamy do czynienia tylko z cyklem błahych opowieści o nastolatkach i ich zakochaniach, napisanym z ciepłem i błyskotliwością? Czy przypadkiem nie mamy tu do czynienia z rodzajem emblematyki, nie gorszej niż w traktatach alchemicznych? Czym są tak naprawdę koniunkcje Borejków?

Blisko wtajemniczenia był Czesław Miłosz, który raz i drugi Jeźycjadą się zachwycił, zadzwonił nawet (lata 90. to w końcu i jego południe, jeśli idzie o recepcję i uwielbienie w Polsce) do autorki. Ostatecznie jednak Jowisz, który tyle razy deklarował, a i ujawniał, swoją empatię dla osobnego, kobiecego świata, odkrywał na nowo kalifornijskie poetki i Świrszczyńską, tym razem postanowił pokazać światu twarz satyra i, jak wiemy z licznych dzwoniących kostką lodu wspomnień, porechotać

w gronie kompanów nad potencjalnym rozwinięciem wątków erotycznych cyklu powieści. Cóż prostszego, można by rzec: już jeden z przodków Ijona Tichego zbił na podobnym zabiegu fortunę.

A potem było już ciemniej: „Wysokie Obcasy” doczekały się swoich wychowanek, czytelniczki z lat 90. posmakowały życiowych rozczarowań, bywa, że klęsk – i postanowiły lekką ręką znaleźć winowajczynię. Początek XXI wieku to, jeśli idzie o krytykę Jeżycjady, prawdziwie freudowski czas *matricidium*, kolejne publicystki, literaturoznawczynie, arbitry i blogeressy demonstrowały swoje oburzenie bezmiarem tradycjonalizmu, patriarchalizmu, klasizmu i klerykalizmu w książkach Musierowicz. Pamiętam ich nazwiska równie dobrze, jak bułhakowska Małgorzata nazwiska krytyków Arymana i Łatuńskiego (oraz literata Mścisława Laurowicza), patrzę, jak w tęczowych awatarkach paradują dziś na fejsbuku i zawsze liczyć mogą na zimny kącik w moim sercu. Ale imion rozkoszy tych nie podam, bo życia mało, czasu szkoda. Może tylko – skoro Mistrz nie zapomniał tytułu wymierzonej weń rozprawy, brzmiącej „Starowiej wojujący” – wspomnę i ja, że w kilka lat po peanach Szczęsnej na łamach „Gazety Wyborczej” o MM pisano już tylko per „Autorzy najbardziej nielubiani”. Czyli trochę jak w smacznej frazie, którą usłyszałem kilka dni temu: „po kremówkach przyszedł czas anty-kremówek”.

Zostawmy to. Myślę o Jeżycjadzie, która musi przejść przez kilka lat kwarantanny, by z cyklu powieści obyczajowych awansować do cyklu powieści historycznych – albo do roli jeszcze poważniejszej. Jeśli idzie o ten czyściec czasowy, to są sprawy znane nostalgikom: wszystko, co jest wpisane w konkretny czas (a Jeżycjada jest, poza wszystkim innym, kapitalnym źródłem do pracy o „Życiu codziennym inteligencji polskiej na przełomie XX i XXI wieku”, od razu można by obstałować podobny

tom w znanej PIW-owskiej serii), w którymś momencie wydaje się lekko przestarzałe – i musi wyjść z „doliny dziadersowości”, zanim zajaśnieje na nowo jego urok. Swój czas odrzucenia, kwarantannę na stryszku przetrzymały walkmany i maszyny do pisania, meblościanki i lampy naftowe, nowele Iwaszkiewicza i poezje Słowackiego, dlaczego miałyby go nie przeżyć Jeźycjada?

*Jeźycjada musi przejść przez kilka lat kwarantanny, by z cyklu powieści obyczajowych awansować do cyklu powieści historycznych – albo do roli jeszcze poważniejszej*

Wielkie książki wracają, czasem w jasności Gandalfa, czasem skromniej, zwykle w innej niż dotąd roli.

Opracowań o Rzeczpospolitej czasów *Initium*

*Calamitatis Regni* mamy tyle i tak dobrych, od Konopczyńskiego i Korzona po Kerstena i Augustyniak, że mechanizmy polityczne XVII wieku tłumaczą lepiej od „Trylogii”. Potrafimy też, przeczytawszy kilka powieści, dostrzec, jak „Potop” jest pozszywany fabularnie i jest to, powiedzmy sobie szczerze, ścieg dosyć gruby, westernowy. A jednak.

Kiedy nie tylko Gaba doczeka się wnuków, kiedy przestanie nas irytować oschłość Kalamburki, kiedy mercedes Pyziaka stanie się równie anachronicznym symbolem nowobogackiego statusu, jak dziś tesla – Jeźycjada będzie nadal niezrównaną powieścią o ładzie przyjaźni i rodziny, z których wyrasta ład społecznego świata. Może właśnie w tym grudniu, kiedy „Wyborcza” z przybudówkami naprawdę przeszła samą siebie, niemal co dzień publikując kolejne materiały o ohydzie małżeństwa, obrzydliwości macierzyństwa, koszmarze

ojcostwa, szmirowatości narzeczeństwa, terrorze wigilii, kiczu kolęd, nudzie nakazów i opresyjności obyczajów widać to szczególnie wyraźnie.

Wiedziały blogeressy, co je uwiera, wyczuły, gdzie – przy całym sztafażu na „dziewczyńskie czytadło”, rumieńcach Pulpecji i burzy rudych loków Idy – płynie rzeka podziemna.

No i cóż. No i trudno. Od anty-kremówki się przynajmniej nie utyje. A historycy literatury, jeśli dłużej żyją, znają satysfakcję, gdy po dekadach opadają wody, zmienia się krajobraz, i okazuje się, co było naprawdę ważne. Jakiś Norwid, jakaś Kuncewiczowa. I jakaś Musierowicz, która dała Polsce więcej, myślę, niż Dickens Anglii.

A tymczasem – poczytajmy, choćby dziś. Ja wiem, porządki, śledzie, ale przecież... „Mama Żakowa (...) nie mogła absolutnie oderwać się od lektury, toteż ustawiła książkę na szczycie skomplikowanej konstrukcji ze słoików i szklanek, wspartej na skraju zlewu. Czytając, od niechcienia brała co jakiś czas talerz lub widelec i z poczucia obowiązku trzymała go pod strumieniem gorącej wody, dopóki nie poczuła, że pieką ją palce. Wtedy odkładała sztuciec i ze spokojnym sumieniem czytała dalsze pięć minut, po czym powtarzała całą operację od nowa”.

Mamy więc dobre wzorce. Korzystajmy. O, proszę: „Była tak zachwycona, że na policzki wystąpiły jej malinowe wypieki. – Co za dźwięk! To jest niemożliwe. Kto to gra? Gould?”.

*Wojciech Stanisławski*

